

Andrzej Lurski

BARBARA

W 1981 roku przyjechała do mnie – mieszkałem w Hadze – moja matka Joanna. Właśnie zamierzałem przeprowadzić się na stałe do Oxfordu, gdzie przebywała siostra mojej mamy, Gertruda, z mężem Władysławem Stelmaszykiem. Władysław Stelmaszyk był ciężko ranny pod Monte Cassino i po wojnie pozostał na stałe w Anglii.

Był koniec marca, gdy pojechaliśmy do ciotki do Oxfordu. Raz w miesiącu przychodziła do niej fryzjerka Alina, Polka, która wyszła za mąż za angielskiego policjanta – „boba” – Bernarda. Tak się złożyło, że z początkiem kwietnia wypadła jej wizyta u ciotki. Pogadało się troszkę i przy okazji Alina wpadła na pomysł, aby poznać mnie ze swoją kuzynką, która jutro przyjeżdża z Polski. Umówiliśmy się więc na kawę o 10.00 z mamą i z wujostwem. Pogoda była wyjątkowo piękna – wiosna w pełni, dużo kwiatów i słończko. O 9.00 kupiłem bukiet kwiatów i pojechaliśmy do Aliny do Yarnton. Stół był bardzo po angielsku przygotowany. Przedstawienie kuzynki Barbary z Łodzi też bardzo angielskie. Prezentacja odbywała się kolejno, a ja, chyba nieprzypadkowo, zostałem na sam koniec.



Popatrzyłem jak zwykle na buty, no i tak dalej – patrzyłem w jej oczy i stawy zaczęły mi się uginać, mięśnie nabierały drętwy, zaczęło się robić coś szaro – istny żar w południe – jakiś „barbar” zjeżył mi się na głowie. Co widzę? Diamenty we mgle przede mną. Czy Pan pozwoli i czy Pani ma ochotę? Pokazywałem jej trochę Anglię: krajobrazy, zabytki i oczywiście hotele. Potem już tylko formalności do załatwienia, dotyczące ślubu i wesela. To wszystko w tej mgle, nie angielskiej. Słyszałem, że odpowiedziała TAK – mnie też o coś się pytali, nawet nie wiedziałem dokładnie, czy chodzi o mgłę, czy też o jej przyczynę, ale – jeśli się nie mylę – też powiedziałem TAK.

Barbara nie chciała zostać w Oxfordzie i dlatego na pół roku znaleźliśmy się w Holandii. W urzędzeniu się w Antwerpii bardzo pomogła nam ciocia Barbary, Bella. A to już Belgia i lata nauki języka dla Barbary i dla mnie, studia w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych i praca, i atelier jedno – i znów któraś tam przeprowadzka, i atelier drugie, i dom własny, i atelier trzecie. Tak przeminęło 25 lat życia, życia bez świąt i weekendów. Praca i nauka.

Tyle tylko, że ja stałem się dla niej „Lali”, a ona dla mnie „Mot”, „Motka”, „Motek”, „Motunia”.

Z początkiem kwietnia 2007 roku zgłosiła się do lekarza, ponieważ od kilku tygodni bolała ją prawy bok. Po badaniach diagnoza – *colon carcinoma* i w 95% zmetastazowana wątroba. Prognoza: dwa miesiące życia.

Potem operacja i walka o... i walka o...

I nareszcie nasza pierwsza wspólna podróż; można powiedzieć – poślubna. W Krynicy wysiedliśmy z autobusu 10 sierpnia i – taksówka do „Lwigrodu”. Taksówkarz tłumaczył Barbarze, że tam miejsc nie ma, bo Festiwal Kiepur, ale nic nie pomogło. Poszła do recepcji i wróciła do taksówki po mnie, bo pokój na nią czekał. Potem to już tylko miodowe dni w Muszynie.



Barbara i Andrzej Lurscy w Muszynie

A w listopadzie byliśmy z przepiękną pogodą w Benidorm.

Potem spotkanie „Almanachu” 2008 w Muszynie... starzy i nowi znajomi.

I znowu listopad w Benidorm – 3 tygodnie okropnej pogody – silne bóle głowy, bryfen i morfina.

I powrót do Mortsel.

W ten poniedziałek czekała na mnie, wróciłem z miasta o 11.25, oddychała ciężko, oczy miała zamknięte... Wziąłem ją w ramiona, czułem jej oddech coraz trudniejszy... oczu już nie otworzyła... po chwili wszystko zamarło... mgłą się rozeszła – zostały w mych ramionach diamenty.